

Stanisław Krzysik

Szkoła z oddali i z bliska

*Kaliska Szkoła imienia Adama Asnyka
we wspomnieniach absolwenta z 1935 roku*

Wrocław, wrzesień 2016

Dziesiątki lat historycznych wydarzeń na świecie, wiekopomnych odkryć, niezwykłego postępu w życiu minęły od dwudziestolecia międzywojennego zeszłego wieku.

Prawie cztery pokolenia po odzyskaniu – w wyniku milionów ofiar pierwszej wojny światowej – niepodległości, Polacy zjednoczeni z trzech zaborów zaczęli budować wolny swój kraj.

Z oddali dwudziestolecia jawi się we wspomnieniu Asnykowska Szkoła Kaliska – społeczność obejmująca różne środowiska: szacowne grono nauczycieli, uczniów, abiturientów, ich rodzin i wszystkich, których myśli związane są choć trochę ze szkołą, zamieszkali w Kaliszu lub rozsiani po świecie. Punktem centralnym jest zaś gmach naszej czcigodnej uczelni przy ul. Grodzkiej. Moje wspomnienie to raport, relacja, bo stara się odtworzyć tamten czas z rzetelnym, bezstronnym oglądem i by uczucia nie przebiły prawdy, bo ta jest najważniejsza, a nie wykluczam krytycznych głosów i polemik.

Mieszkańcem Kalisza zostałem w czerwcu 1924 roku, gdy jako sześciolatek przybyłem tu z rodzicami, którzy jako nauczyciele języka polskiego i łaciny podjęli pracę w kaliskiej szkole. A urodziłem się, gdy ojciec mój był na wojnie, w domu mojego dziadka w Krakowie, w lutym 1918 roku i przez kilka miesięcy byłem obywatelem Austrii – zaborcy. Od wczesnej młodości hartowałem swój patriotyzm zwiedzając Smoczą Jamę, Barbakan. Rynek, kościół Mariacki, aż do kościoła „Na Skałce”, gdzie spoczywa patron szkoły kaliskiej – Asnyk, a ostatnio Czesław Miłosz, noblista.

Potem z rodzicami znalazłem się w Olkuszu, pod Krakowem. Tam, jak wszyscy w Kraju, przeżyliśmy powojenną wielką biedę, co nie przeszkadzało poznawać ojczyzno-krajobrazu.

Zwiedziłem ruiny zamków, byłem na Pustyni Błędowskiej, w jaskini w Ojcowie, a latem 1923 roku w Zakopanem. Tak stałem się na tyle dojrzały by docenić Kalisz. Ale zbudzona na Giewoncie miłość do Tatr trwa.

Kalisz wyprzedza jego legenda. Zanim postawisz tu stopę już wiesz, że „Kalisia” była na mapie Ptolemeusza w starożytnym Rzymie, że to jedna z siedzib Wielkopolskich Piastów, a szkoła jedna z najstarszych w Polsce. Miasto przyjazne dla przyjezdnych. Stara zabudowa objęta miłośniczo

czterech ramionach rzeki Proсны. W 1924 roku kończyła się już odbudowa części zniszczonej ostrzeliwaniem przez Niemców w 1914 roku, po rozpoczęciu wojny. Robiły wrażenie: planowy układ ulic w centrum, aleja Józefiny, okazały ratusz, kościoły, no i park. Dla nas młodych cud, prawdziwa puszcza, jakże urokliwa!

Zamieszkaliśmy na przedmieściu przy wylotowej z miasta ulicy Stawiszyńskiej, na pięć lat. Na końcu miasta rozciągały się na prawo tereny po nieczynnej cegielni, glinianki – pustkowie, a po lewej na wzniesieniu był ładnie usytuowany cmentarz wojskowy – miejsce zadumy, a jeszcze dalej i wyżej – wiatrak. Cmentarz odwiedzany nie raz.

We wrześniu 1924 roku rozpocząłem naukę w okazałym budynku szkoły przy ulicy 3 Maja, ale już po miesiącu odebrano mnie, bo tam „niewiele się nauczysz” i rozpocząłem blisko trzyletnią wędrówkę po kilku prywatnych „uczelniach”, które nazywały się szkółkami, kompletami, zespołami lub były po prostu nauczycielami. W czerwcu 1927 zdałem oficjalny egzamin z moich umiejętności w gimnazjum im. A. Asnyka i tak zaczął się mój ośmioletni, niezapomniany okres mego życia, który mnie kształtował na człowieka i obywatela.

Wkraczając we wrześniu w szkolne mury nie czułem się obco. Od trzech lat rodzice uczyli w niej łaciny i polskiego, zatem dom nasycony był szkolną atmosferą, a ja wyrobiłem sobie obraz szkoły. Cieszyło tu nawiązywanie koleżeństwa, gonitwy rozgrywane na szkolnym boisku, a w klasie czytanki z podręcznika. Najbardziej wciągnęło mnie, także i wielu innych – harcerstwo. Początkowo były to „podchody”, polegające na tropieniu przez jedną grupę harcerzy drugiej po pozostawionych śladach, a działało się to na terenie parku, więc było to cudowne dla dziesięciolatka, bo w roli „Indianina” naśladował bohaterów czytanych książek. Potem zabawy stały się już poważniejsze. Pojawiły się maski gazowe i przyuczano nas do zachowania na wypadek wojny. Usłyszeliśmy nazwy gazów bojowych: fosgen, dwufosgen i inne oraz uczono nas jak masek gazowych używać dla obrony. Uczono nas także nieść pomoc na obszarze gdzie zdarzył się atak gazowy. Takie były zabawy! Zdarzało się, ale rzadko, że w harcerskich mundurkach zbieraliśmy datki na ulicy przeznaczone na społeczne cele. Nagrodą za taką pożyteczną działalność publiczną były spotkania na zbiórkach, wycieczki w podmiejski zielony plener na Wolicy i obozy. Nie

tylko wakacyjne, ale też zazwyczaj w czerwcu – trzydniowe w lesie za miastem. Noce spędzone w namiotach, gotowanie pod niebem i ogniska wieczorami ze śpiewaniem.

Pamiętać jednak zawsze trzeba, że wszystko regulowały zasady prawa harcerskiego, o których nam przypominano ciągle, aż staliśmy się strażnikami samych siebie. Był w tych latach ruch współdziałania na międzynarodowym polu skautingu i odbył się zjazd w miejscowości o nazwie Gedele na Węgrzech, ale uczestnikami zostali tylko wybrani.

Mężnieliśmy w harcerstwie, niektórzy jak Jan Werner stali się działaczami, inni przechodzili do innej różnorodnej aktywności w ramach szkolnych. Przecież podstawowym zadaniem jest nauka od pierwszej klasy do ósmej, a nauczyciele są jej apostołami.

Twórców renomy szkoły kaliskiej, kilku pamiętnych nauczycieli przedstawił w swojej książce „Kalisz z oddali” mój starszy, szanowny kolega Tadeusz Pniewski, maturzysta z 1933 roku. Ograniczę się do uzupełnienia innymi osobami i faktami. Przedstawieni zostali z mego okresu: dyrektor Stanisław Pacholski, Helena Kindlerówna – nauczycielka rysunku i wychowawczyni pierwszaków, Stanisław Krzysik – nauczyciel łaciny i języka polskiego, Karol Kuczewski – nauczyciel matematyki, Antoni Pstrokoński – nauczyciel geografii oraz ksiądz Bolesław Osadnik. Wymieniono też paru innych, ale Ci nie zostali w mej pamięci, gdyż pewnie mnie nie uczyli.

Najwybitniejszą rolę w ukształtowaniu charakteru szkoły odegrał Stanisław Pacholski w okresie swego dyrektorowania. Zwolennik Romana Dmowskiego, aktywny narodowiec nadał nauczaniu styl i życiu szkoły: działania aktywizujące patriotyzm. Obchody świąt narodowych były uroczyste, także rocznice narodowych zwycięstw i klęsk. Wszystkie klasy gromadziły się w auli, pierwszaki na przedzie. W programie było okolicznościowe przemówienie kogoś z nauczycieli, deklamacje, śpiewy, nawet scenki z udziałem muzyków lub orkiestry. Czasem przemowę powierzano uczniowi, a tak było w dniu 12 września 1933 roku na akademii w 250. rocznicę wiktorii wiedeńskiej, gdzie mnie z klasy przedmaturalnej powierzono tę rolę. Odpowiednie pogadanki bywały i na lekcjach historii i polskiego bo to humanistyka właśnie. Zapraszano czasem prelegentów z

wykładami na tematy patriotyczne. Organizowano wycieczki po kraju do miejsc pamiątek narodowych lub muzeów, albo po prostu dla umiłowania ojczyznanego krajobrazu jak zwiedzanie cukrowni w Zbiersku, do muzeum w Gołuchowie czy do letniego pałacyku Radziwiłłów w Antoninie. W czerwcu lub we wrześniu wędrowaliśmy do lasu w Winiarach lub do Nędzerczewa, a w 1929 roku cała szkoła wyruszyła pociągiem na Powszechną Wystawę Krajową do Poznania na jednodniowe zwiedzanie – wczesnym rankiem wyjazd, wieczorem powrót. Pamiętna wyprawa! Dla pogłębienia wśród uczniów kultury języka polskiego działało Koło Literackie „Kalina”, gdzie czytywało się wybitniejsze owoce poezji Skamandrytów, a także sygnalizowano ciekawe pozycje drukowane w Wiadomościach Literackich. Pamiętam też, że raz gościliśmy na ogólnym spotkaniu Kaliszan z Marią Dąbrowską, autorką wziętej wtedy powieści „Noce i dnie”. Wysoki poziom ukazujących się pism i książek pozwolił bardzo szybko zapomnieć, że ziemia kaliska była najbardziej na zachód położoną częścią cesarstwa rosyjskiego, choć okazała cerkiew rozebrano dopiero w 1925 roku.

W obrazie miasta następowały zmiany na lepsze, ale i na gorsze: w 1929 roku, w lutym, przeżyliśmy okres okrutnej zimy, mrozy osiągnęły temperatury blisko -30 stopni i w efekcie aleja Józefiny – ozdobna arteria straciła piękną dwurzędową, obsadzoną starymi kasztanami, promenadę, które przemarzły i trzeba je było ściąć. Kulturalne życie miasta, a więc i szkoły stwarzały odczyty na najrozmaitsze tematy, odbywane w dużej Sali Rzemieślników, gdzie również prezentowano przedstawienia teatralne zespołów odwiedzających Kalisz, na które czasami chadzaliśmy. Budynek położony nad Prosną ożył dopiero w 1936 roku. Dla szkoły niezapomniane pozostaną wystawiane własnymi siłami sztuki teatralne z niedawnej przeszłości: „Mazepa” Juliusza Słowackiego, a przede wszystkim „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii nauczyciela języka polskiego Stanisława Nowosielskiego. Było to przeżycie jesienią 1933 roku. Grało wielu kolegów obdarzonych posturą i głosem, ale wszyscy chłonili już w czasie prób teksty widowiska, niektórzy je obserwowali i mówiło się „Wyspiańskim”. Taniec Chochoła mam do dziś w oczach.

Nowosielski, który także inicjował zainteresowania fotograficzne uczniów, zasłużył również na pamięć uczniów. Nie tylko wielka Muza budziła

naszego ducha. Jeszcze w końcu lat dwudziestych chodziło się do kina „Miraż” lub „Oaza” na nieme filmy, gdzie ciąg obrazów przerywany był co chwilę tekstami dialogów, które były drukowane na ekranie, by móc rozumieć akcję filmu. A w rogu sali przy ekranie stało pianino, na którym grano jakieś stosowne melodie. Ale wkrótce kino zdobyło głos, a atrakcyjne stało się wtedy, gdy w filmach prezentowano sceny „rozbierane”, które stały się magnesem dla starszych kolegów. Ci z podniesionymi kołnierkami płaszczy bywali tajnie na takich seansach i dzielili się w swoim gronie wrażeniami niedostępnymi dla młodszych.

Ale nie zapominajmy, że dla większości uczniów największą atrakcją był sport. Dla mnie też ważny. Prowadziłem wraz z kolegami na przydomowej, niezabudowanej łączce zawody sportowe: biegaliśmy, skakali, rzucali piłką, co było dla nas dużą atrakcją. Później nauczyłem się pływać tak, że na zawodach międzyszkolnych startując z promu, płynąc kraulem, byłem pierwszy! Wiosłować można było z wybudowanej nad Prosną pięknej przystani. Ale największym świętem młodzieży szkolnej Kalisza były coroczne zawody odbywane w czerwcu na pięknym, otwartym stadionie. Walka o pierwszeństwo była zażarta. Rywalami byli: „Buraki” - to my Asnykowcy, a „Żaby” to koledzy z gimnazjum imienia Kościuszki. Odróżniano nas w mieście po kolorze wypustek na zszywkach w mundurkach szkolnych, które wówczas wprowadzono. Na czapkach przed maturą widoczne były fantazyjne fastrygi wyszywane białą nicią. Rywalizacja sportowa była ostra w grach: dwa ognie, ale głównie w szczypiorniaku, grze zespołowej dziś zwanej piłką ręczną. Nazwa urodziła się w podkaliskim Szczypiornie, gdzie osadzeni w 1918 roku legionści po odmowie przysięgi spędzali wolny czas tak grając. Równie bezpardonowa walka toczyła się w lekkiej atletyce, a więc w znanych współcześnie konkurencjach: biegach, skokach, rzutach. Wyniki musiały być niezłe skoro zwycięzca biegu na 100 metrów Jan Tęsiorowski został w następnym roku mistrzem Polski w tej konkurencji. Te zawody obserwowaliśmy z trybun i naprawdę to były pamiętne chwile. Wyniki zapewne były upamiętnione w ukazujących się szkolnych pismach: „Latawcu”, „Sztubaku” i w piśmie „Czyn i Słowo” - organie wspólnym dla obu szkół.

W redakcjach tych mediów szkolnych dominowali starsi, bardziej wyrobieni literacko i stylowo utalentowani koledzy, którzy w dorosłym

życiu osiągnęli nieraz znaczącą pozycję w społeczeństwie. Ich rolę omawia szerzej kolega T. Pniewski.

Wracając do sportu nie można pominąć fizycznej zaprawy zimą. zazwyczaj ostrej w tamtym klimatycznym okresie, ale niezbyt długiej. Jeździło się na łyżwach przykręconych do podeszwy buta. Ślizgawki były na Prośnie lub na Kogutku – stawie w parku. Narciarstwo rozwijało się dopiero w latach trzydziestych, w roku 1939 odbyły się w Zakopanem międzynarodowe zawody, które już jako student oglądałem jeżdżąc też na nartach nieudolnie na halach pod Zakopanem.

Szczególne znaczenie w nauce miały dla mnie od młodości przedmioty humanistyczne: historia, literatura, psychologia. Na pierwszym miejscu wraz ze szkołą była historia, którą uważałem za podstawowe źródło twórczości literackiej. Od niej trzeba zaczynać wszelkie rozważania, co i jak robić, a więc indywidualne wartościowanie. Zaczątki takiego przekonania wzrastały stopniowo. Już rodzice przypominali, że osiągnięta wiedza, to jedyny mój skarb. Uczyłem się więc pilnie i w efekcie w pierwszej i drugiej klasie uzyskałem na koniec roku wręczoną w auli książkę jako nagrodę. Nie było jednak uznania kolegów szkolnych. Okrzyknięto mnie „kujonem”, który ślęczeniem nad książką nadrabia brak polotu i fantazji. Wstyd? Uznano nadto, że jestem „lizus”, który dla lepszych stopni podlizuje się nauczycielom słuchaniem ich wykładów i lektur. Zapał do nauki w tej sytuacji gasł. Od nauczycieli polskiego i łaciny w domu też nie miałem pomocy w przedmiotach „ściśłych” i tak przestałem być prymusem. Zetknięcie z historią pozostało w mej pamięci. Były to lekcje z Anielą Ziółkowską. Była nie tylko młoda, zaraz po studiach, urodziwa, wysoka, zgrabna i ładnie ubrana, ale przede wszystkim nie siedziała w klasie na katedrze, lecz chodziła przed ławkami, wchodziła między rzędy, wykladała barwnie, ale przy tym zadawała pytania i wyznaczała do odpowiedzi śpiochów. Każdy musiał uważać i śledzić nauczycielkę. Samemu też można się było zgłaszać, by uzyskać „plus”. Uczyła mnie w jednej klasie, ale wzbudziła trend do historii. Aniela Ziółkowska przeszła do żeńskiej uczelni im. Anny Jagiellonki. Zmieniła też stan cywilny: została synową pastora Edwarda Wendego, żoną jego syna Henryka, adwokata oraz matką także adwokata Edwarda Joachima Wendego, znanego z działalności publicznej i obrońcy w procesach politycznych w czasach PRL.

Potem moim nauczycielem historii był Antoni Surman, ale szczególnie lubiliśmy wszyscy Mariana Wałęckiego, bo był litościwy i nie stawiał not niedostatecznych, czyli „dwój”. Zapamiętaliśmy go szczególnie, bo wykładał stojąc przed ławkami, jak w ekstazie. Moje ostateczne uwiedzenie historią nastąpiło przed maturą, gdy zjawił się w szkole jako nauczyciel historii, a zarazem dyrektor, Ludomir Fabrycy, były legionista, zwolennik Józefa Piłsudskiego i sanacji, rządzącej po przewrocie majowym w 1926 r. Jako nauczyciel Fabrycy stosował swój sposób nauczania. Zdarzenia historyczne omawiał z czynnym udziałem uczniów, którzy dyskutowali o roli bohaterów, ich działaniach w zależności od okoliczności. Lekcje były ożywione, ciekawe i zmuszały uczniów do myślenia, a nie tylko biernego zapamiętywania faktów. W toku takiej dyskusji nauczyciel stawiał pytania zmuszając uczniów do odpowiedzi sprawdzając ich wiedzę. Zadaniem domowym było spisanie treści takiej debaty, ujmując ją zwięźle w punktach i oczywiście znajomość tego. Dyrektor Fabrycy starał się uczynić historię nauką zobiektywizowaną, co się mu nie udało. W ten sposób wychodząc poza program omawiał z nami subiektywnie działalność Legionów jako racjonalną i zmierzającą do zwycięstwa. W ten sposób omawialiśmy takie zdarzenia jak powstanie wielkopolskie, które na konferencji pokojowej w Wersalu przesądziło o granicach. Tak omawialiśmy wojnę 1920 r., a także powstania śląskie, co zapamiętałem, był to mój temat z historii na ustnej maturze w 1935 r. W szerokim toku tak ujętej historii sam szukałem błędów w naszych dziejach, w rozbiciu dzielnicowym, sprowadzeniu Krzyżaków w 1226 r., w „szwedzkim potopie”, powstaniach narodowych, gdzie klęski były w zarodku. Z tego ja wyciągałem wnioski, że zasadniczym punktem działania jest realna przewidywalność i realność zwycięstwa. Może to dziwne, że umocniło mnie w tym rozumowaniu poznanie w naszej szkole nauczyciela języka polskiego Mariana Wróbla. Był to wybitny szachista, znany w Polsce i Europie, autor zadań szachowych, które drukowane były w wielu dodatkach i pismach szachowych. W szkole chodził pochylony, z planszą w kieszonce. Uczył nas gry, która pozwalała analizować klęski i zwycięstwa i uczyć się sukcesu przekładając to na życie.

Historię można dostrzec wszędzie. Na przykład w nauce łaciny. Z tłumaczeń tekstów: łatwego u Juliusza Cezara (De bello gallico), Liwiusza,

Sallustiusza, do arcytrudnego Tacyta. W tych lekturach są bohaterowie, których trzeba znać i przywoływać jako wzorce do naśladowania jak chociażby nasz Zawisza Czarny, znany również w Europie.

Takiej łaciny uczył nas w szkole Stanisław Krzysik, mój ojciec, a także polonistka, moja matka, Irena. W tym procesie kształtowania młodych umysłów trzeba na równi docenić nauczanie obok humanistycznych także nauk ścisłych i choć wymienię nauczycieli: obok językoznawców niemieckiego Artura Jengera, który prywatnie uczył mnie początków angielskiego, oraz Adama Goldwassera nauczyciela francuskiego, także Jadwigę Towtkiewicz, nauczycielkę biologii, Tomasza Łyska od przyrody, Karę Mustafę Gembickiego – uczył nas fizyki rodowity Tatar, a od wieków Polak. Nie cytuję wielu nauczycieli figurujących w spisie, których moja pamięć nie ogarnęła, albo po prostu mnie nie uczyli.

Specjalne słowa z mej strony należą się Karolowi Kuczewskiemu – uczył nas matematyki, w której nie byłem mocny. W klasie maturalnej, jesienią, profesor stracił cierpliwość i wobec kolegów powiedział: „Jak Boha kocham, kochasiu, ja ciebie nie dopuszczę do matury, jak się nie poprawisz”. Przestraszyłem się na serio. Wziąłem korepetycje i przez parę miesięcy przerobiłem około pięciuset zadań, po kilka dziennie. Tak polubiłem „matmę” jako ściśle rozumową wiedzę, że omal nie wybrałem się na wyższe studia na politechnice zamiast prawa. Jak nie pamiętać Kuczewskiego! Nie byłem jedyny. Tak zmobilizował też innych.

Dążąc do objęcia wspomnieniem wszystkich przejawów życia szkoły trzeba też wymienić przygotowania do służby wojskowej. Wszyscy musieli uczestniczyć w pogadankach prowadzonych przez oficerów na temat roli młodych adeptów w obronie terytorium kraju. Wszyscy też braliśmy udział w ćwiczeniach: była to musztra oraz strzelanie z karabinów do tarcz na wojskowej strzelnicy. Ukoronowaniem i nagrodą był udział w letnim obozie usytuowanym na polach blisko latarni morskiej na Rozewiu. To w tej latarni, przed laty Żeromski pisał „Wiatr od morza”. Z obozu wysłano reprezentacyjny oddział do Gdyni na Święto Morza, które organizowano corocznie dla pielęgnowania w narodzie idei dostępu do morza. I ja tam byłem jako towarzyszący oddziałowi reporter na uroczystości pod Kamienną Górą i fotografowałem co i kogo się dało, a więc także

Prezydenta RP Ignacego Mościckiego zasiadającego na fotelu podczas mszy.

Przedstawione różne przejawy życia szkoły i uczniów wymagają oceny ogólnej. Uczyliśmy się pilnie, ale i wymagania były wyższe. Średnio piąta część pozostawała na drugi rok, w klasach wyższych – mniej. Tak jak i w społeczeństwie były podziały religijnie, narodowościowe, społecznie i materialnie. Ale w codziennym życiu klasy nie czuło się różnic. Koleżeństwo i duch patriotyczny, którym było przesiąknięte, nauczanie i wychowanie wyrównywało sfery. Nauka religii w szczególności nie dziwiła nikogo: klasa dzieliła się na Żydów, do których przychodził teolog o nazwisku Abram Buki, do protestantów pastor Edward Wende, a do katolików ksiądz Bolesław Osadnik, który z ducha był administratorem: zbierał datki na różne cele charytatywne, misje w Afryce, organizował Sodalicję Mariańską, dbał o orkiestrę szkolną oraz o zakwaterowanie uczniów na stancjach. Gdy odszedł na emeryturę zastąpił go ksiądz Borysewicz, z ducha inny duchowny. Z nim poznaliśmy się bliżej, bo wykładał w klasie maturalnej naukę etyki, co dawało okazję do głębszego rozważania różnych spraw, czasem kontrowersyjnych. Na przykład: współżycie z Żydami, co w Kaliszu rozwijało się poprawnie i u nas w klasie też panowały koleżeńskie stosunki. W kraju jednak tworzyły się w środowiskach młodzieżowych organizacje o charakterze antysemitycznym. Najpierw Obóz Wielkiej Polski, a po jego zdelegalizowaniu ONR czyli Organizacja Narodowo-Radykalna lub inaczej Obóz Narodowej Rewolucji z bojową Falangą. Ta skrajnie prawicowa organizacja używała przemocy wobec zajmujących się handlem Żydów. Cała szkoła była przeciwna tym gwałtom, a również negatywnie oceniała decyzję z 1938 r. władz uniwersyteckich o miejscach dla studentów na wykładach w ławach „parzystych”. Na lekcjach etyki uzasadnialiśmy „naukowo” stanowisko, że nie może uważać się i czuć się katolikiem ten, kto aprobejuje gwałt. Demokracja opiera się na poszanowaniu prawa.

Muszę podnieść, że po maturze w roku 1935 utrzymywałam żywy kontakt ze zdarzeniami w szkole poprzez informacje od mojego ojca, który aż do wybuchu wojny i dwa lata po wojnie był nadal nauczycielem, a ja spędzałam wolny od studiów prawniczych czas w Kaliszu.

Ze szkołą czuję się uczuciowo związany, bo moja postawa etyczna i światopogląd narodowy i ludzki wyrosły z nauk i przykładu obojga Rodziców, pedagogów, jak również z wychowawczego i naukowego dorobku szkoły i jej nauczycieli, za co Im dziękuję i chylę czoło. Moją postawę przedstawiam, bo ja wyłącznie za nią – nie obciążając nikogo – odpowiadam.



Stanisław Krzysik, maturzysta z 1935 roku

Wrocław, wrzesień 2016